

## Gienek

**W**racając, spotkałem Gienka. W siatce niósł dwa piwa w małych, pękatych butelkach, zwanych granatami.

- Chodź, Stefek, siądziemy se gdzieś w cieniu – pokazał na rzekę. - Gorąc taki, że aż w oczy szczypie! - zaśmiał się – Masz – wyjął butelkę z siatki. - Albo czekaj, zaraz ci roztworzę – i otworzył. Pierwszą butelkę, tę dla mnie, kapslem o kapsel, a drugą, dla siebie, zębami.

Usiedliśmy pod wierzbą. Gienek wyciągnął nogi przed siebie, upił łyk, potem drugi, dłuższy i nagle ni stąd ni zowąd rozmarzył się tymi słowy:

- Przed zimą to by człowiek dał jesionkę do pralni. Normalnie, jak człowiek. Bo jesionka już diabła warta. Brudna wszystkimi opłotkami, jak jasna pogoda. Tyle razy w pokrzywach nocowała, to tera brudna, co nie? Przed zimą gotowanego by człowiek zjadł. Schabowego, dajmy na to, z kartoflami i kapustą. Normalnie, takiego o, jak dłoń schabowego, albo i większego! Zjadłby jak ludzie. Najsampierw papierkowym pieniądzem uiściłby człowiek przy kontuarze. Żeby nie było, że zjadł i wyszedł, prawda? Po uiszczeniu zjadłby człowiek jak ludzie, na siedząco, talerz stawiając na czystej ceracie, a nóż, widelec jak należy: jedno po prawej, a drugie po lewej, statecznie. A potem, po konsumpcji, gębę by człowiek otarł serwetkom i wychodząc ślicznie podziękował, rączki całując Pani Kierownicze za ladą. I wyszedłby człowiek przed drzwi frontowe, cały najedzony, syty i niewinny. Potem zapaliłby kupnego. Nie takiego sobie robionego z ruskiej tabaki, tylko prawdziwego, z kiosku. Zaciągnąłby się człowiek głęboko, szczęśliwie, a potem na pekaes by poszedł. Na stanowisko dworcowe. Do Warszawy by się udał, a może nawet i dalej. Ale nie za sprawunkami, tylko tak se, wycieczkowo, żeby tylko jechać w dal, żeby raz w życiu było inaczej. Taaak, pożyłby se człowiek małowiele, parę godzin, jak normalne ludzie... – Gienek urwał nagle i się zamyślił. Myślał tak i myślał z pięć minut, a potem odwrócił twarz w moją stronę i spytał:

- Powiedz, Stefek, może ja za dużo chcę od życia?

Wszystko co miał Gienek było po kimś. Znoszone, pocerowane, ledwie się go trzymało. Nowego, kupnego to nie miał nic. Czasem, jak go który chciał zdenerwować, mówił: oddaj, Gieniuś, te dwa złote, co ci nie pożyczyłem. Wtedy Gienek się boczył, bo

nigdy nic nie ukradł. Co najwyżej znalazł. Leżało, to podniósł. I se wziął do kieszeni. Takie dwa złote to nie pies. Nie może być bezpańskie. Pośmiali się z Gienka chwilę, ale tylko chwilę, bo przecież każdy jeden pod słońcem coś kiedyś podniósł i wziął. I nawet mu powieka nie pykła, choć dobrze wiedział, komu wypadło. Mógł zawołać, ej, wyleciało ci, masz, i oddać. Ale nie zawołał.

Gienka zatrudniał Jasiek Kopidół. Ale ile mogło być tego zatrudniania? Tyle, co kot napłakał. Bo w takiej małej parafii, jak nasza, to ile da radę dołków wykopać? Jeden, góra dwa miesięcznie. Więcej nie ma kto umierać. Chyba, że marzec bardziej umarły nastanie albo śmierć jakaś co bardziej śmiertelna, wypadkowa. A, to wtedy nie byle dwa piwa Gienek niósł, ale cztery albo i ze sześć! I pasztetową. Pół kila. Pasztetową lubił Gienek najbardziej ze wszelkiej garmażerki. Pasztetowa taka dobra, że żal jeść! Patrz, pokazywał z uśmiechem na siatkę, pasztetowa świętej pamięci. Żyć, nie umierać!

U siostry w obejściu mieszkał. Na łaskawym chlebie. W letniej kuchni. W chałupie za dużo dzieciarów, nie ma jak. I szwagier nosem kręci. A w letniej w sam raz. Kozetkę sobie postawił po prawo od kuchni westfalki, przy ścianie, a pod oknem stół. Żeby widniej było krzyżowki rozwiązywać. Bo elektryki w tej letniej nie było. Świeczką musiał wieczorami, jak naszło dłużej posiedzieć.

I tak sobie Gienek żył. Cienkim ciurkiem życia.

\* \* \*

Czy pił? Tak jak wszyscy. Czyli pił. Ale o tym za chwilę, bo właśnie o coś pyta.

- A ty byś choregwi za mnie nie poniósł? W co drugą niedzielę albo raz w miesiącu, najmarniej? Bo mnie nie zawsze pasuje. A procesja bez Izydora to jednakowoż, no... Niby procesja, ale kapkę kulawa. To co, ponosisz?

W niedzielę z samego rana Gienek golił się, cesał, zamieniał swój błyszczący od brudu drelich na wyżej wzmiankowaną jesionkę, gumiaki na kościolowe i już był gotów. Musiał jeszcze swoje odsiedzieć, bo do sumy zostało ze trzy godziny bez mała. Siedział więc Geniu na kozetce wymyty, ogolony, niedzielny. Siedział sztywno, świątecznie, a wtedy do jego głowy lubiło przyjść najrozmaitsze myślenie. Najczęściej takie bliskie sobie, jak o Panu Bogu i o ciele kobiecym. Że Pan Bóg dobry, a jednak żal, że wtedy, w stodole, nie złapał Janki na tyłek. Pana Boga kochał tą choregwią izydorową, procesyjną, a Jankę pamięcią. Pan Bóg od lat ten sam co niedziela i pod ręką, a Janka? Ożeniła się już dawno za lasem i zapomniała. A jemu żal. Bo można było Jankę słodką, różową i chętną wtedy, dwadzieścia lat temu, za tyłek złapać i może wszystko poszłoby inaczej. A tak, to tylko poleżeli na sianie,

przez szpary w stodole pokazał jej gwiazdy i tyle. I tyle było w jego życiu miłości.

Dzyń, dzyń, dzyń! - wrywał Gienka z zamyślenia budzik nastawiony na jedenastą. No nic, Gienek uderzał dłońmi o uda, trza iść. I wstawał Gienek, i szedł trzy i pół kilometry na sumę. A potem niósł w procesji wielką choregię Izydora Oracza. Wiatr nimi szarpał obydwoma. Wiatr zwykły jak stodoła i święty jak miłość wrywał ich sobie wzajemnie, ale szli dalej. Czasem się Gienkowi zdawało, że nie Izydora dźwiga, ale Jankę pod ten wiatr. Że ją szybko trzeba do szpitala, bo zaraz ma rodzić! Wtedy nieświadomie przyspieszał, niemal biegł, aż za nim wołali: Gieniek, sfolguj, gdzie tak lecisz?! On zwalniał i tłumaczył, że to przez ten wiatr. I już szedł spokojnie. A wiatr sobie dalej hulał gdzie popadnie, bez ładu i składu, jak to całe ludzkie życie.

Po kościele pod parkanem paliło się papierosy. Te kupne, ale głównie te robione. Paliło się i zastanawiało, czy teraz do gospody, czy tylko do Lusi po dwa piwa na twarz, a potem gdzieś w krzaki. Wszystko zależało od zasobów. Jak który na tacę nie wrzucił, to miał. Każdy coś miał, jakiegoś zaskórniaka, starannie schowanego przed proboszczem, przed żoną, przed światem.

Po krótkiej naradzie któryś zdejmował czapkę i obchodził wszystkich po kolei. Dawaj, co masz, kazał wrzucać. Tylko Gienkowi nikt czapki nie podtykał, bo było jasne, że nic nie ma. Ale zawsze go zapraszali na jednego. Trochę z litości, ale najbardziej, żeby się mieli z kogo pośmiać. Z takich jak on tak łatwo się pośmiać. Że niby, jak to wtedy było, opowiedz Gieniuś, ileście tych win wypili? Sto tysięcy pińcet?! Ha, ha, ha! A chodziło o pewną Wielkanoc, która ciągnęła się za Gieńkiem w nieskończoność. Kilka lat wstecz zaproszony został przez dwóch znajomych na święcone jajeczko i kielicha. Znajomi owi byli braćmi i starymi kawalerami. Mieszkali w chatce na uboczu, po drugiej stronie wsi. A że akurat sprzedali kawałek ojcowizny, no i święta, to wypić się należało. Gieniu im pasował, bo tak jak oni, był z niego dziwak i za kołnierz nie wylewał. Do stołu usiedli w sobotę po południu, żeby jak sobie powiedzieli, do świąt się konkretnie przysposobić. I zaczęli pić.

We wtorek po śmigusie-dyngusie ktoś rozpowiedział, że u starych kawalerów pali się chlewek, a oni nic se z tego nie robią, tylko z Gieńkiem piją, a puste flaszki wyrzucają przez okna. Ale ani dymu z tamtej strony nie było, ani straż nie jechała, ani nic. Na wszelki wypadek któryś sąsiad poszedł zobaczyć, co jest. I to, co zobaczył, przeszło do legendy. Szybko zawrócił, żeby zawołać kogoś na świadka. Żeby mu uwierzyli. Żeby nie mówili, że chyba ci się po świętach w oczach potroiło albo że liczyć nie potrafi. Polecili więc w kilku sąsiadów. Po cichu zaszli pod chatkę i zobaczyli, jak wszyscy trzej siedzą sobie w najlepsze za stołem, gadają i podnoszą szklanki do ust. Po świętach już prawie śladu, a ci w najlepsze opijają zmartwychwstanie. Rozejrzeli się sąsiedzi wokół i złapali za głowy. Pod oknem, w

trawie, w malinach, w krzakach, pod jabłonkami, wszędzie butelki! Świeże, błyszczące na zielono, brązowo i przezroczysto. Po „Mamrocie”, po „Mocnym byku”, po „Arizonie”, po wszystkim, na co stać tych, którym w życiu nie wyszło. I zaczęli liczyć. Kilku liczyło, a i tak im zeszło z dziesięć minut. Sto piętnaście! Jezu Chryste, sto piętnaście win zero siedem litra obalili starzy kawalerowie i Gienuś! Przez trzy dni. I jeszcze siedzą, i jeszcze im mało.

Uczynni sąsiedzi ułożyli butelki w składną kupkę, żeby kawalerzy mieli potem jak załadować na dwukólkę i do skupu, i sobie poszli. A potem zaczęli rozpowiadać, co widzieli, a głównie czego nie widzieli. Tak powstaje plotka, zwana potem legendą. Czego zatem nie było w tych opowieściach! Jakie soczyste i wstydlive detale tam się nie plątały! Ile tam panieniek nie siedziało za stołem! Ile razy się wszyscy wokół chatki nie ganiali na golasa i z nożami! I kto tam kogo nie dźgnął! A na koniec każdej opowieści dodawali o Gieńku, że tyle miał promili, że jak wracał i sikał, to się asfalt topił. I tak już od lat. To Gienia najbardziej upokarzało. Już niepamiętne razy zaprzeczał, że to wszystko bujda. Ale im bardziej zaprzeczał, tym chętniej przy byle okazji do tego wracali, dodając coraz to nowe, wyssane z palca detale. Tak się Gieniu tym wszystkim martwił, że zaczął powtarzać, że jak nie przestaną, to sobie coś zrobi. Nawet lubił gorzko zażartować: patrz, jakie piękne drzewo, tylko się powiesić. Ale nikt tego poważnie nie brał. Tak jak całego Gieńka.

\* \* \*

Siedzieliśmy tak sobie już kawałek czasu. Ziemia zdążyła zrobić ćwierć fikołka i cień pod wierzba już nie był cieniem. I piwo powoli się kończyło. Gieniu dopił swoje i przechylił butelkę. Była pusta.

- Alkoholu zawsze jest za mało – westchnął – i miłości.

Wstaliśmy, otrzepaliśmy siedzenia i każdy ruszył w swoją stronę.

- Tylko w niedzielę nie zapomnij o Izydorze! - Gieniu zawołał za mną – Bądź, jak by mnie zabrakło.